

Marcin Jamiołkowski

# BEZSENNI





Marcin Jamiołkowski

# BEZSENNE

III tom Przygód Herberta Kruka



Bezsenni

Copyright © Marcin Jamiołkowski

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Alicja Sularz

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2016 r.

druk ISBN 978-83-7995-051-5

epub ISBN 978-83-7995-052-2

mobi ISBN: 978-83-7995-053-9

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Ilustracja na okładce: Alicja Sularz

Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski

Skład i typografia: [Studio Grafpa](#)

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka dostępna w księgarni: [www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

i [www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)

*Strona z bloga Bajki.*

Dziewczyna idzie szybko przez otulone chłodnym mrokiem miasto. Pantofelki stukają rytmicznie, a dźwięk odbija się płytkim echem od otaczających ulicę kamienic. Mija szeroką bramę prowadzącą na ciemne podwórze i pogłos zmienia się na głębszy, donośniejszy. Kątem oka dostrzega jakiś ruch w głębi i czerwoną plamkę papierosa. Przyspiesza.

Szpilki ocierają niemiłosiernie i dziewczyna przeklina w myślach swój chybiony wybór. Przeklina koleżankę, która pomagała je wybrać w sklepie. Po chwili przeklina też ojca, który kazał jej wrócić o jedenastej do domu. Jest już trzecia w nocy i dziewczyna wie, że po powrocie przywita ją awantura, a jej efektem będzie szlaban. Jest wściekła.

Myśli o Pawle i oczy jej nagle wilgotnieją. Złość ustępuje na moment litowaniu się nad sobą. Rażąca niesprawiedliwość losu sprawia, że niepowstrzymane

łzy płyną po policzkach, psując makijaż i rysując długie bruzdy aż do wygiętych ust. Wygląda teraz brzydko, zdaje sobie z tego sprawę i to pogłębia jej frustrację. Łez przybywa.

Przypominają jej się słowa Natalii:

– *Będzie dyskoteka, będzie Paweł i zobaczysz, że będzie zajebiście!*

Dyskoteka była, Paweł był i początkowo także było zajebiście. Ale przestało, kiedy Natalia z Pawłem wyszli z imprezy po kryjomu, nic jej nie mówiąc. Z jej Pawłem. Suka!

Wymawia to słowo na głos i kiedy uświadamia sobie, jak dobrze to brzmi, dodaje:

– Cholerna suka!

Ale nie przynosi to żadnego ukojenia.

Zapina kurtkę pod szyją, jest chłodno. Za plecami słyszy metaliczne stuknięcie i ogląda się nerwowo. Pusto. *Jednak trzeba było poczekać na nocny autobus* – myśli. Stara się przyspieszyć kroku, ale szpilka przypomina o sobie, boleśnie wgryzając się w piętę. Szlag by to!

Dźwięk powtarza się bliżej, a spanikowana dziewczyna podbiega kilka kroków i wskakuje do najbliższej bramy, ciemnej jak grobowiec.

Opiera się plecami o ścianę, serce łomocze jej jak po kilku okrążeniach na wuefie. Przyciska ręce do piersi i stara się uspokoić oddech. Nasłuchuje uważnie, ale nie słyszy żadnych kroków, żadnych odgłosów więcej. *Wariatka!* – usiłuje się pocieszyć. *Panikara. Nic ci nie będzie. Masz po prostu stracha. Jest późno, ciemno, a ty masz szesnaście lat i głowę pełną horrorów.*

Potrąca nogą butelkę, którą zostawił tu jakiś pijaczek. Łomot szkła sprawia, że żołądek podchodzi jej do gardła. Butelka zatrzymuje się i zapada cisza.

Ciemność rozjaśnia ognik, który wypełza nieśmiało ze szczeliny w ścianie. Jest niewielki, może wielkości połowy kciuka, i płonie bladoniebieskim światłem, przywodzącym na myśl palnik spirytusowy. Zaskoczona dziewczyna wyciąga w jego stronę dłoń, ale nie czuje ciepła. Płomień migocze i skapuje na ziemię jak kropla płonącego alkoholu. Rozlewa się w niewielką plamkę i przygasa, aby po chwili znowu się rozjarzyć.

Dziewczyna nie może oderwać od niego wzroku. Wyciąga palec i delikatnie zbliża go do ognia. Teraz dopiero dostrzega, że w jego wnętrzu, pod błękitem, świeci coś gorącego, niewielka żółto-czerwona iskra. Nie, nie iskra. Coś. Jest gorące i piękne. Kiedy palec już prawie go dotyka, płomień rozlewa się i płynie w głąb podwórza. Dziewczyna rozgląda się, oszołomiona. Nie pamięta, żeby uklękła. Zrywa się na nogi i biegnie za płomykiem, który czeka na nią nieopodal. Migocze niepewnie. Wabi. Zaprasza.

Jeszcze dwa kroki. Jeszcze krok.

Ognik znowu rozmywa się i chowa za zakrętem, zostawiając za sobą błękitny ślad, który wyparowuje i po sekundzie znika. Dziewczyna skacze za nim.

I nagle robi się jasno i ciepło. Stoi przed wielką kolumną ognia. I nie jest to już ten blady, rachityczny płomień, za którym podążała.

Zalewa ją blask tak jasny, że dziewczyna zamyka oczy. Czuje podmuch gorąca. Kiedy znowu je otwiera, dostrzega, że ogień drży.

Wpatruje się w niebieskie i białe strumienie plazmy, stapiające się ze sobą i wypryskujące na zewnątrz w postaci krótkich, jaskrawych jęzorów. W przelewającej się czerwone i żółte kule, przywodzące na myśl lampę lava. Kule przenikają się wzajemnie i rozpuszczają, zmieniając kolory, rozpadając się lub łącząc w olbrzymie konfiguracje.

Im dłużej dziewczyna ogląda spektakl, tym chłodniejszy staje się ogień. Nie czuje ogarniającego żaru, nie zastanawia się nad tym zupełnie. Nie zdaje sobie sprawy, że jej włosy spłonęły kilka sekund temu, a skóra policzków popękała. Nie wie, że ubranie płonie już od dobrych kilku chwil. Że sztuczne włókna kurtki wtopiły się w skórę, że krótka spódniczka oblepiła uda, a rajstopy rozpadły się popękaną pajęczyną i osypały na ziemię. Że ocierający ją pantofel, wykonany z taniej imitacji skóry, już dawno zmienił jej stopy w czarne, pomarszczone kikuty.

Nie wie, że od kilku chwil leży na brudnym, zaszczanym przez koty chodniku, a nad nią pochyła się ogień.

Nie wie, że ojciec już od godziny obdzwaniana jej znajomych i że za kolejną godzinę zatelefonuje na policję, zgłaszając zaginięcie.

Nie chce wiedzieć.

Chce tylko widzieć płomień.





– Otwórz oczy!

Aż podskoczyłem, gdy coś wydarło mi się do ucha. Zezel bezczelnie szczyrzył do mnie klawiaturę. Nie komputerową oczywiście, ale w jego przypadku warto to podkreślić.

– Jest sobota – wystękałem. – Porąbało cię? Daj się wyspać.

– Wstawaj, wstawaj! – Poczujęm szturchnięcie w żebra. – Dla ciebie ciągle jest sobota. Zaliczyłeś ich już za dużo w tym tygodniu, łamiesz zasady rządzące wszechświatem ludzi pracujących!

Burknąłem coś obraźliwego, ale chłopak ściągnął ze mnie kołdrę i odskoczył na bezpieczną odległość.

– Wstawaj, na dole jest jakaś ruda laska. Chyba na ciebie czeka.

Jego słowa przez chwilę nie chciały do mnie dotrzeć i odbijały się w czaszce jakimś znajomym echem. Uniosłem się na łokciu, jeszcze nie do końca rozbudzony, i nagle pamięć ostatnich dni wróciła niczym bumerang. Zwaliłem się z powrotem na poduszkę.

– Ach, ona. Zrób mi kawy, wszystko ci opowiem.

Zezel wahał się przez chwilę i wyglądało, że zaprotestuje w sprawie wykorzystywania go jako chłopca na posyłki, ale ciekawość zwyciężyła. Sapnął tylko, odwrócił się na pięcie i wybiegł do kuchni. Rozumiałem go, Ruda miała w sobie to coś.

Światło raziło mnie paskudnie, więc zamknąłem oczy. Przydałaby się miękka opaska, którą mógłbym założyć na głowę i...

Przypomniał mi się początek tygodnia, kiedy staliśmy z Anną na moście i wrzuciłem wizytówkę do rzeki, wpraszając się na Dwór Złotej Kaczki.

Nie wiedziałem, w co się pakuję.

Przypomniała mi się limuzyna, błazen, lokaj i Trzy Kolory. Przypomniała mi się opaska na oczy.



– Serio? – powiedziałem, patrząc na różową, jedwabną opaskę z czerwoną koronką, którą machał mi przed nosem błazen.

– Oczywiście, że masz wybór! Możesz jeszcze założyć to – odpowiedział, wyciągając przed siebie drugą rękę, w której trzymał czarny, płócienny worek. Akurat mój rozmiar. Czy ktoś szył takie rzeczy na zamówienie?

Posłałem mu zniechęcone spojrzenie, wzięłem opaskę i założyłem na głowę bez słowa. Jeśli już musiałem mieć zasłonięte oczy, to zdecydowanie wolałem koronki niż duszenie się w zapoconym worze. Lepiej pachnieć burdelem niż katem. Chociaż – o ile się nie mylę – te dwie profesje były kiedyś ściśle ze sobą związane. Miejski kat miał, zdaje się, przyjemność sprawować opiekę nad domami publicznymi...

Ktoś chwycił mnie pod ramię. Chyba lokaj, bo błazen miał najwyżej metr pięćdziesiąt i to wliczając jego fikuśną czapkę z dzyndzlami. Uwolniłem rękę i dla odmiany sam złapałem pod łokieć lokaja. Jeśli mam wziąć udział w tym spektaklu jako niewidomy, to przynajmniej zrobmy to poprawnie.

Szliśmy na spotkanie ze Złotą Panią. Mój anons został zaakceptowany, a przysłana limuzyna dowiozła mnie bez przeszkód do Filtrów Lindleya. Chyba że za przeszkodę uznać towarzystwo trzech miłych pań częstujących winem, małomównego lokaja i stukniętego błazna o pokręconym poczuciu humoru. Nie liczę kierowcy, który tylko raz otworzył dzielącą nas szybę, żeby skinąć na powitanie zaróżnionym, szczeciniastym łbem. Miał fryzurę przypominającą szczotkę klozetową i porównywalne z nią umiejętności towarzyskie. Nie przeszkadzało mi to w żadnym stopniu.

Dziewczyny były trojaczkami albo efektem zabronionych badań z dziedziny inżynierii genetycznej – na pierwszy rzut oka wyglądały identycznie. Proste, czarne włosy do ramion, ciemna oprawa oczu, szminka w pastelowym odcieniu, nieznacznie poprawiająca pełne usta. Takie same ciemne sukienki. Smukłe nogi, po długości których mogłem próbować odgadnąć, jak wysokie są moje współpasażerki. Dopiero po dłuższej chwili i kilku beczelnych, bezpośrednich spojrzeniach uznałem, że nie są siostrami, lecz mają ten sam typ urody, który – podkreślony starannym makijażem – sprawiał, że wyglądały niemal identycznie. Jeśli to był obowiązujący na Dworze Złotej Pani kanon piękna, to istniały olbrzymie szanse, że tego wieczora się zakocham. Kilkukrotnie.

– Za kogo jest pan przebrany? – zapytała dziewczyna siedząca najbliżej i usiłująca otaksować mnie wzrokiem.

Wlepiłem w nią zdziwione spojrzenie i otworzyłem bezradnie usta. Zanim zdobyłem się na jakąś odpowiedź, odezwała się druga z dziewczyn:

– Och, Fuksjo! Nasz gość chyba nie wie, że dziś na Dworze jest bal maskowy.

– Fuksja, piękne imię... – wydobyłem z siebie w końcu. – To prawda, nie wiedziałem, że dziś bal maskowy.

– To wiele wyjaśnia – powiedziała trzecia, podając mi kieliszek. – Jestem Ochra. A to Fuksja i Sepia.

Wskazała kolejno swoje towarzyszki. Ukłoniłem się na tyle, na ile pozwalało miejsce.

– Herbert. – Przyjąłem kieliszek i wzniosłem w górę. – W takim razie proponuję wznieść toast za trzy piękne kolory!

Dziewczyny roześmiały się uroczo.

W pobliżu Filtrów dotarliśmy nadzwyczaj szybko. Wyglądało na to, że dla limuzyny istniały tylko zielone światła. A może po prostu kierowca ignorował konsekwentnie wszystkie czerwone. Nie dane mi było się przypatrzeć temu fenomenowi, ponieważ szyby samochodu były nieprzezroczyste, zarówno z zewnątrz, jak i od wewnątrz. Grunt, że kierowca widział drogę przed sobą. Być może. Przejechanie o tej porze przez Warszawę bez chociaż jednego postoju na światłach to był wynik proszący się o wpis do Księgi rekordów Guinnessa. Na pewno więcej było w tym magii niż prawdziwych umiejętności.

Limuzyna zatrzymała się w końcu. Milczący do tej pory lokaj wysiadł pierwszy, otwierając drzwi i wypuszczając nas jedno po drugim.

– Zapraszam – przemówił.

Byliśmy na terenie Filtrów. Nawet bramę minęliśmy bez czekania. No, no. Rozejrzałem się. Zapadał już zmrok, nieopodal majaczyła samotnie wieża ciśnień. Stanęliśmy obok niskiego, szarego budyneczku, ukrytego między rosnącymi rzadko chojakami. Wtedy właśnie błazen podsunął mi opaskę na oczy.

Kiedy się z nią uporałem, lokaj ruszył do przodu. Odrobinę mocniej zacisnąłem palce na jego ramieniu. Wędrówka na Dwór Złotej Pani z zawiązanymi oczami.

Tak, tego właśnie potrzebowałem.

Kiedy wykonałem pierwszy krok, poczułem klepięcie w tyłek i udawany damski śmiech. Nie łudziłem się jednak, że to któraś z dziewczyn chciała zabawić się moim kosztem. Błazen miał swoje poczucie humoru. Westchnąłem ciężko.

– Proszę pochylić głowę – odezwał się mój przewodnik. – A teraz proszę uważać na schody.

Schodziliśmy głęboko pod ziemię. Starłem się liczyć stopnie, ale szybko straciłem rachubę, przysłuchując się rozmawiającym za moimi plecami kobietom. Od czasu do czasu błazen poszturchiwał mnie albo rzucał sprośne uwagi na ich temat, co dziewczyny kwitowały krótkimi parsknięciami. Najwyraźniej starały się go ignorować, ale nie do końca im to wychodziło.

– Schył się! – usłyszałem nagle i przygarbiłem się odruchowo. Stopień uciekł mi spod nogi. Zachwiałem się niebezpiecznie i chwyciłem mocniej lokaja.

Błazen zaśmiał się radośnie z dowcipu, a ja postanowiłem bardziej zaufać jednak prowadzącemu mnie mężczyźnie.

– On tak zawsze? – rzuciłem.

Lokaj burknął pod nosem coś niezrozumiałego i dalej rytmicznie schodził w dół.

– Zawsze – odpowiedziała któraś z dziewczyn, chyba Fuksja.

O ile udało im się upodobnić do siebie nawzajem, to głosy miały zdecydowanie różne. Fuksja miała chyba najbardziej zmysłowy głos, jaki słyszałem w życiu.

– Hieronimusie, przestań zaczepiać pana Herberta – dorzuciła Ochra – bo potem on zaczepi ciebie.

– Nie uderzysz chyba mniejszego? – zakwilił błazen w udanym przerażeniu i kolejny raz szturchnął mnie w bok.

– To się okaże później – uciałem, siłąc się na radosny ton.

Nie miałem nigdy okazji odwiedzić Filtrów, ale wiedziałem, że gdzieś pod ziemią rozciągają się olbrzymie sztuczne zbiorniki, oczyszczające wodę. Podobno pięknie oświetlone. Czułem chłód i wilgoć w powietrzu – musieliśmy być blisko. Schody skończyły się i zostałem powiedziany dalej w podziemia. Czułem, że lokaj kluczy, celowo utrudniając mi określenie kierunku, no ale przecież po to zasłonięto mi oczy.

– Teraz duży krok, ostrożnie. – Lokaj pociągnął mnie i poczułem, że podłoga chyba chce się groźnie. Weszliśmy do łodzi. Posadzono mnie na ławeczce. Poczułem zapach perfum i dotyk chłodnej, damskiej

dłoni na swojej. Miałem nadzieję, że damskiej, a nie Hieronimusa.

Lokaj wziął się do wiosła.

– To naprawdę bal maskowy. – Fuksja najwyraźniej nachyliła się ku mnie, bo poczułem na policzku jej ciepły oddech. – Jeśli nie chcesz uchybić etykietce, powinieneś się przebrać.

– Już chyba za późno – mruknąłem. – Poza tym liczyłem na audiencję bezpośrednio u Złotej Pani, z pominięciem zabawy.

Roześmiała się cicho.

– Pamiętaj, że to ona ustala zasady w swoim domu, a ty jesteś jej gościem i musisz grać według jej reguł. Nie chcesz chyba zacząć spotkania z nią od obrazy majestatu?

Nie chciałem.

– Teraz mamy bal. A to oznacza, że Złota Pani przyjmie cię po nim. Lub może znajdzie czas dla ciebie podczas przyjęcia, ale pamiętaj, że tutaj zabawy często się przeciągają. Znacznie.

– To znaczy jak długo?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego ujęła moją drugą dłoń, tę z brązu, skrytą w rękawiczce.

– Kiedy znajdziemy się w pałacowym holu i pozwolą ci zdjąć opaskę, otrzymasz przywileje gościa. Na Dworze istnieją zasady, cała etykieta, której teraz ci nie wyjaśnię, bo nie ma na to czasu. Jeśli wejdiesz na Dwór nieprzebrany, Majordomus zaanonsuje cię z imienia i nazwiska. To będzie poważnym pogwałceniem reguł domu i znajdziesz się w nieciekawej sytuacji, łącznie

z tym, że Królowa będzie cię mogła w pewien sposób kontrolować.

Pokręciłem głową. Nie chciałem być kontrolowany. Fuksja poklepała mnie po rękę.

– Kiedy więc tylko podejdzie do ciebie Majordomus, podaj mu hasło tego wieczora i każ się zaprowadzić do garderoby, w której będziesz mógł wybrać stosowne przebranie. Dla gości robi się naprawdę dużo, trzeba tylko wiedzieć, jak poprosić.

– A jak brzmi hasło wieczora? – zapytałem.

Odpowiedzi jednak nie otrzymałem, bo łódź przybiła do brzegu i zaczął się ruch. Hieronimus wylądował mi na kolanach i poczułem jego wilgotne cmoknięcie na policzku. Odepchnąłem go niezbyt delikatnie.

– Brutal! – usłyszałem w odpowiedzi.

Fuksja, Ochra i Sepia wyszły pierwsze, błazen wyskoczył zaraz po nich, podzwaniając czapką. Pozwoliłem lokajowi wyprowadzić się z łodzi. Pociągnął mnie od razu gdzieś w lewo, tak gwałtownie, że o mało nie straciłem równowagi.

Usłyszałem skrzypnięcie drzwi. Sądząc po głębokim, zgrzytliwym odgłosie – wielkich drzwi. Przemieściliśmy się o kilka kroków i lokaj znów mnie zatrzymał.

– Może pan zdjąć opaskę – powiedział.

Zsunąłem ją z ulgą. Światło mnie poraziło, a oczy momentalnie się zaszklify.

Kiedy otarłem łzy, mogłem się wreszcie rozejrzeć.

Staliśmy w holu.



Był olbrzymi. Szeroki. Wysoki. Zastanowiłem się od razu, jak głęboko pod ziemią się znajdujemy.

Trzy kryształowe żyrandole wiszące pod sufitem zdobionym freskami oświetlały pomieszczenie. Połączane ściany potęgowały blask. Moją uwagę przykuł nieznaczny ruch po lewej stronie.

Wnęki w ścianach, otoczone arkadami opartymi na wąskich półkolumnach, zajęte były przez żywe posągi. Stali w nich przystojni, doskonale zbudowani młodzieńcy. Półnaczy, o ciałach pomalowanych na złoto, przeżyli muskuły, spoglądając niewidzącymi oczami. Po drugiej stronie ściany wyginały ciała kobiety o harmonijnych kształtach i odsłoniętych biustach. Co jakiś czas figury zmieniały pozycje, ale robiły to powoli i z gracją. Byli piękni. Były piękne.

Na końcu holu znajdował się przestronny westybul o złotych ścianach, rozświetlony przez liczne lampy i kolejny żyrandol. Przedemną wznosiły się olbrzymie paradne schody, rozwidlające się na półpiętrze. Z nich właśnie, z godnością, schodził do nas wspomniany Majordomus.

Ubrany był w długą, ciemną, haftowaną marynarkę o dużych, złotych guzikach, z których tylko jeden był zapięty. Jej poły rozwidlały się na podobieństwo fraka. Pod nią pyszniła się jednorzędowa kamizelka, również haftowana złotem, o guzikach nieznacznie mniejszych.

Do tego bufiaste spodnie, kończące się trochę poniżej kolan, białe jedwabne pończochy, czarne, połyskujące pantofle. I żabot.

Herbert, przypomnij sobie... Kiedy na własne oczy widziałeś żabot?

Majordomus był już w połowie schodów, kiedy uświadomiłem sobie, że Fuksja nie podała mi hasła. Moje trzy towarzyszkę wyprzedziły mnie już znacznie i chciałem je dogonić, ale w tym momencie błazen uwiesił się złośliwie mojej nogi.

Miałem go kopnąć? I zapewne uchybić etykietce?

Jedna z dziewczyn odwróciła się nagle i podeszła do mnie. To była Ochra.

Podeszła blisko i spojrzała mi powłóczyście w oczy.

– *Corvus* – powiedziała cicho, tuż przy moim uchu.  
– Podziękuj Fuksji.

Błazen zatrząsnął się, podzwaniając na mojej nodze.

Ochra odwróciła się, jakby spłoszona, i dołączyła do przyjaciółek.

Schyliłem się do Hieronimusa.

– Słuchaj, chłopie, nie chcesz znaleźć sobie jakiejś innej łydki do obściskiwania? Tamten facet na przykład – pokazałem idącego w moją stronę mężczyznę.

– Zobacz, jakie ma zgrabne nogi.

– Y, y, y! – wy dobył z siebie błazen.

Dłoń samoczynnie zacisnęła mi się w pięść.

Majordomus zatrzymał się przed dziewczętami, złożył ukłon i pozdrowił je życzliwie. Usłyszałem śmiechy i strzępki rozmowy. Kobiety odwróciły się do mnie i pomachały, a Fuksja przesłała mi krótki pocałunek.

Majordomus zbliżał się do mnie.

– Witam! Witam Obrońcę Miasta. Nazywam się Mirosław Tuk. Proszę za mną.

Schwycił błazna za ucho i odciągnął ode mnie, co przyjąłem z ulgą. Naprawdę nie wiedziałem, jakie konsekwencje poniósłbym, gdybym zrobił to sam.

Tukk odwrócił się, jakby chciał odejść, więc szybko osadziłem go w miejscu słowami:

– Proszę wybaczyć. Zdaje się, że trafiłem na bal maskowy, a, jak pan widzi, nie mam stroju. Czy może mi pan wskazać miejsce, w którym będę mógł się stosownie ubrać?

Mężczyzna posłał mi puste spojrzenie, jakby w ogóle mnie nie usłyszał. Zrozumiałem, że za chwilę otrzymam odmowną odpowiedź, więc nachyliłem się do niego i rzuciłem konfidencjonalnie:

– *Corvus*.

W oczach Mirosława Tukka zapaliło się coś na kształt zawodu.

Wyglądało na to, że naprawdę miałem narobić sporego zamieszania i – urągając zasadom obowiązującym na Dworze – wystąpić pod swoim nazwiskiem.

Ha! Nie ze mną dworskie intrygi! Dziękuję, Fuksjo!

– W takiej sytuacji proszę tędy – ruszył w głąb holu, omijając prowadzące w górę schody.

Ruszyłem za nim.



Kiedy Majordomus wprowadził mnie na salę balową, ubrany byłem w coś, co – miałem nadzieję – sprawi, że nie będę znacząco wyróżniał się w tłumie

gości. Garderoba zaopatrzona była znakomicie. Gdybym zechciał, mógłbym się przebrać nawet za osła. Oczywiście gdybym przypadkiem miał partnera, który chciałby robić za osli zad. Nie chciałem przebierać się w zupełnie nowy strój, zdjąłem więc tylko kurtkę, zostając w czarnych spodniach i białej koszuli. Wybrałem sobie prostą czarną maskę na oczy w stylu „Zorro – zestaw dla początkujących”, nie kłopotalem się jednak wyborem kapelusza. Za to pan Tukki podał mi piękną, zdobioną szpadę.

Dobyłem ją z pochwy i machnąłem na próbę charakterystyczne „Z”.

Zorro to jednak banał. Powiniennem jakoś podkreślić swoją indywidualność, może nawet wymyślić sobie własny pseudonim.

Wyciąłem w powietrzu wielką literę „H”. Pierwsze skojarzenie, jakie mi przyszło do głowy, to „Hydrant”. Słabe. Uśmiechnąłem się do swoich myśli.

Zanim zostałem wprowadzony na salę balową, jeden ze służących zaanonsował głośno parę stojącą przede mną.

– Perseusz i Meduza!

Kobieta ubrana w obcisłą, elegancką suknię oraz mężczyzna w szarej tunice i skórzanej zbroi, z krótkim mieczem u boku, zostali nagrodzeni gromkimi oklaskami.

Przyszła pora na mnie.

– Zorro – szepnąłem, widząc pytające spojrzenie sługi.

– Zorro! – powtórzył głośno.

Oklaski były skąpe i wiele osób roześmiało się. Nie speszyłem się jednak – nie sililem się przecież na oryginalność. Wkroczyłem głębiej.

Jeśli hol zaskoczył mnie swoim ogromem, tym bardziej zrobiła to sala balowa. Oświetlona przez dziesiątki kandelabrow i upstrzone świecami żyrandole, lśniła złotem, czerwienią, a nawet królewską purpurą. Wzdłuż bocznych ścian stały zastawione jedzeniem stoły, przy których z jednej strony kręcili się goście, z drugiej zaś usługujący im kelnerzy w weneckich maskach, przypominających ptasie dzioby.

Lewa strona pomieszczenia służyła jako parkiet do tańca – kilkanaście par płaśało w rytm walca, wygrywanego przez siedzącą nieopodal orkiestrę. Muzycy również byli przebrani – każdy miał na twarzy wilczą maskę, a ich dłonie skrywały rękawice o długich szponach. Żadnemu jednak to nie przeszkadzało. Grali swobodnie i profesjonalnie.

Środek sali zajmowała kolista, trzypiętrowa fontanna, na szczycie której zasiadał marmurowy Tryton, dumnie dzierżący trójząb. U jego stóp spoczywała wielka, połyskująca muszla. Basen fontanny miał około pięciu metrów średnicy. Coś połyskiwało w nim od czasu do czasu, jakby w wodzie widać było srebrzyste łuski wielkich ryb.

Minęła mnie roześmiana para przebrana za wampiry. A przynajmniej miałem nadzieję, że to tylko przebierańcy. Lubieżne spojrzenie, które rzuciła mi kobieta, ustąpić mogło jedynie śmiałemu wejrzeniu jej partnera.

ra. Aż mnie zmroził ten ich przenikliwy, pożądlivy wzrok. Tuż za nimi przebiegł struś. To znaczy ktoś przebrany za strusia. Trochę z boku, na wysokim podium, w stalowej klatce, kusząco poruszały się w rytm muzyki dwie nagie tancerki. Po drugiej stronie sali, na podobnym podium, ich ruchy naśladowało dwóch nagich młodzieńców.

Ruch nad głową. To huśtawka i chichocząca głośno dziewczyna w kolorowych rajstopach. Dwóch facetów przy orkiestrze, wysokich i chudych – jakby byli na szczudłach – pokazywało mnie palcami. Znowu minęła mnie jakaś para. To facet o białej jak śnieg karnacji, ubrany w czarny garnitur i drugi, czarnoskóry, ubrany na biało. Zaśmiali się. Coś otarło mi się o nogawki. Mała dziewczynka w pękatej sukience o bufiastych rękawach, z dłońmi pełnymi brokatu. Zacisnęła je przed moim nosem i dmuchnęła, a pod sufit uleciały kolorowe motyle. Cofnąłem się odruchowo. Znowu ktoś mnie potrącił. Huśtawka nad głową wróciła, wychylając się w drugą stronę. Zamknąłem oczy i odczekałem. Ustąpiły zawroty głowy i oszołomienie. Tu było za dużo magii. To ona oszukiwała umysł i utrudniała zrozumienie otaczającej rzeczywistości.

Spróbowałem chwilowo zignorować najbliższe otoczenie i spojrzałem w głąb sali.

Uspokoilem się.

Nieco dalej, na wprost wejścia, na wielkim łożu, pośród czerwonych, zdobionych poduch, zasiadała sama Złota Królowa. Łoże znajdowało się na niewielkim podwyższeniu, okolonym schodami, a na nich sie-

dzieli paziowie i damy dworu, wszyscy poprzebierani za zwierzęta. Przypomniałem sobie pierwsze spotkanie ze Złotą Panią i uznałem, że najpewniej taka jest obecnie moda wśród dworaków.

Królowa sączyła coś leniwie z pucharka podsuniętego przez młodego chłopca, który – spełniwszy swoją powinność – przycupnął obok łóżka.

Nie wiedziałem, czy etykieta nakazuje podejść i się przywitać, czy wręcz przeciwnie – nie byłem godzien zwracania się bezpośrednio do gospodyni.

Obserwowałem, co zrobią Meduza wraz z Perseuszem. Kierowali się prosto w stronę łoża. Poszedłem za nimi.

Dogoniłem ich, kiedy wstawali z kolan, a królowa machnęła ręką, jakby pozwalając im odejść.

Zbliżyłem się do podwyższenia i skłoniłem najprzejmiej, jak potrafiłem. Nie był to żaden dworski, skomplikowany ukłon, raczej pełne szacunku pochylenie głowy. Nie chciałem klękać, więc trochę zaryzykowałem.

– Herbert – powiedziała, a mnie na dźwięk jej głosu przeszył dreszcz.

– Moja pani – odpowiedziałem, pochylając się jeszcze niżej.

Omiotła mnie spojrzeniem i poczułem się, jakby pieściły mnie delikatne dłonie kochanki.

– Baw się dobrze, chłopcze. Uzyskasz audiencję, kiedy nadejdzie czas.

Skłoniłem się i odszedłem w stronę jednego ze stołów z jedzeniem.

Rozglądałem się, sprawdzając, czy z tłumu nie wyłoni się jakaś znajoma twarz, ale nawet jeśli kogoś mógłbym znać, czego nie wykluczałem, przebranie skutecznie uniemożliwiało mi rozpoznanie go.

W zasięgu były tylko owoce morza. Spojrzałem na krewetki. One spojrzały na mnie. Przesunąłem się dalej.

Obok mnie stanął zażywny, pulchny jegomość, złapał kilka krewetek i wepchnął do ust, po czym oblizał palce.

– Znakomite – powiedział w moim kierunku. Oho. Czas na *small talk*.

– Nie przepadam – uśmiechnąłem się.

– Czy wie pan, że jeszcze kilka godzin temu pływały sobie w wodach północnego Atlantyku? A teraz proszę, są tutaj. – Wepchnął kolejne dwie sztuki do ust.

– Jest pan oceanografem czy po prostu amatorem?

Uśmiechnął się.

– Jeśli chodzi o krewetki? Wariatem. Odkąd dowiedziałem się, że opisano ponad dwa tysiące gatunków, chcę spróbować każdego.

– I jest pan pewien, że wszystkie nadają się do jedzenia? – skrzywiłem się.

– To tylko kwestia sosu i przypraw.

Roześmiałem się.

– Herbert – wyciągnąłem rękę.

– Tobiasz. – Ucisnął ją, na szczęście wycierając uprzednio dłoń w serwetkę.

Kelner podsunął nam kieliszki, więc napiliśmy się ochoczo. Tobiasz opróżnił swój w dwóch łykach i zgarnął z tacy kolejny.



– Krewetka, jak i ryba, jest stworzeniem wodnym, potrzebuje zatem pływać – oznajmił, widząc moje pytające spojrzenie.

– Wypijmy zatem za pana marzenia! – wzniosłem toast. – Oby miał pan szansę spróbować wszystkich gatunków!

Wychyliliśmy do dna. Wino miało cierpki posmak i paliło w gardle.

Spojrzałem przychylnym okiem na coś, co wyglądało jak paluszki rybne.

– Jest pan gościem, Tobiaszu, czy elementem dekoracji? – zapytałem, wskazując na paziów Złotej Pani, snujących się leniwie pomiędzy gośćmi.

– Nie należę do Dworu.

– Rozumiem.

Zbliżyła się do nas niska kobieta, może pięćdziesięcioletnia, o radosnym spojrzeniu i ujmującym uśmiechu. Ubrana była na czerwono, na głowie miała czerwony kapturek i nie potrzebowałem włączać myślenia, żeby wiedzieć, za kogo się przebrała.

– Tobiaszu! – powiedziała. – Znowu się opychasz!

– Mario. Dobrze cię widzieć! – Mężczyzna ucałował powietrze w pobliżu policzków przybyłej.

– To jest pan Herbert – przedstawił mnie. – To jest Maria. Moja Nemezis.

Kobieta wyciągnęła do mnie dłoń, którą uściśnięm delikatnie.

– Jeśli za Nemezis uzna pan pilnowanie tego obżartucha, żeby nie umarł przedwcześnie na zawał, to zgadza się: to ja.

Uśmiechnąłem się.

– Z całym szacunkiem, wygląda pani wspaniale! Nigdy nie ośmieliłbym się tak pani nazwać.

– Wstrętny pochlebca. – Odwróciła się do Tobiasza. – A ty za co się przebrałeś, mój drogi? Bo raczej nie za złego wilka.

Tobiasz naciągnął na twarz maskę, którą do tej pory miał schowaną z tyłu głowy.

Obejrzelśmy go wspólnie i parsknęliśmy śmiechem. Mężczyzna ubrany był w czarny frak i śnieżnobiałą koszulę. Znad kołnierzyka spoglądał na nas ptak o krótkim dziobie i jasnych, długich brwiach, ciągnących się za uszy.

– Pingwin długodzioby, moja droga! – powiedział z dumą.

– Czerwony kapturek! – rzuciła kobieta.

– Zorro – przyłączyłem się do zabawy.

– Wypijmy za to! – Tobiasz nie wiadomo skąd wycharował trzy kieliszki.

Szumiało mi w głowie.

– Mam pytanie – odezwałem się. – Jesteście tutaj bardziej obcy niż ja. Mam audiencję u Złotej Pani, ale nie wiem, o której bal się zakończy. Chciałbym się dowiedzieć, kiedy mniej więcej mnie wezwie.

Popatrzyli na mnie uważnie i wybuchnęli śmiechem.

– Nie, Herbercie – Tobiasz przeszedł gładko na „ty”. – Nie potrzebujesz zegarka, lecz kalendarza.

Śmiał się, aż trzęsły mu się policzki, upodabniając go do zmęczonego boksera.

Maria położyła mi dłoń na ramieniu.

– Bal może potrwać pięć dni, a może nawet dłużej. Myślę, że powinieneś się po prostu dobrze bawić, a na pewno zostaniesz wezwany w odpowiedniej chwili. Nikt nie wyciągnie cię pijanego z łóżka.

Nie wiedziałem, czy cieszyć się z tego faktu, czy wręcz przeciwnie. Nie miałem zamiaru pozostawać tu tak długo, żeby się upić, ale najwyraźniej nie miałem wyjścia.

– *Nunc est bibendum!* – rzucił Tobiasz, wychylając kolejny kieliszek i zmuszając nas do tego samego.

Maria uśmiechnęła się.

– Powinieneś coś zjeść, Herbercie. Ten truciciel spije pana szybciej, niż powie pan „mam audiencję za trzy dni”.

Spojrzałem na stół pustym wzrokiem.

– Zjadłbym kaczkę.

Maria pokręciła głową, jakbym rzekł coś bardzo niestosownego. Rozejrzała się na boki, po czym nachyliła i dyskretnie szepnęła mi do ucha:

– Za takie słowa można tu stracić życie. Lub gorzej.

– Jest coś gorszego od śmierci?

– Cała masa rzeczy. Nie polecam jednak zaznajomienia się z tutejszymi lochami.

– Chyba że masz na myśli te słodkie stworzenia. – Tobiasz wskazał dwie młode dziewczyny przebrane za samice dzika.

Uśmiechnąłem się.

– Za długo już stoimy przy stole, to niezbyt przyzwoite. Zróbmy rundkę – zarządziła Maria.

– Znajdziecie mnie z drugiej strony – powiedział Tobiasz i ruszył przez salę.

Maria ujęła mnie pod ramię.

– Przejdźmy się. Oglądałeś już fontannę?

– Nie miałem tej przyjemności.

– Wobec tego podejźmy, jest na co popatrzeć. Wiedziałeś z bliska syrenę?

– Ciężko powiedzieć. Połowę. Tę rybią. Na talerzu. Spojrzała na mnie badawczo.

– Nie dopisuje ci humor, co? Naprawdę, nie przejmuj się. Nawet nie zauważysz, jak szybko tu płynie czas. – Złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą.

Fontanna lśniła srebrzyście, światła odbijały się w błękitnej toni księżycowym blaskiem.

Maria mnie oszukała. W fontannie nie było syreny. Były trzy.

Nachyliłem się nad lustrem wody. Tuż pod nim przepłynął długi cień, a rozstępujące się fale odsłoniły twarz, która wynurzyła się nagle i zatrzymała zaledwie kilka centymetrów od mojego nosa. Cofnąłem się odruchowo i wstrzymałem oddech.

Kobieta, która wyłoniła się z fontanny, była piękna. Chyba najpiękniejsza spośród wszystkich, jakie miałem okazję zobaczyć. Spoglądały na mnie olbrzymie oczy o miodowych tęczówkach, które przy każdym ruchu głowy iskrzyły bursztynowo-miedzianymi odcieniami. Jasne włosy spadały na plecy i ginęły pod wodą. Skóra w pierwszej chwili przywodziła na myśl chorych na argyrię, ale nie miała niebieskiego odcienia – była srebrna i połyskująca. Miałem ochotę wyciągnąć rękę

i dotknąć delikatnych policzków o ostro zarysowanych kościach. Przesunąć palcem po pełnych, ale nie nadmiernie, ustach. Dotknąć szyi.

Syrena wynurzyła się bardziej, wspierając na krawędzi fontanny, i ujrzałem jędrne, krągłe piersi o ciemnych, niewielkich sutkach.

Uśmiechnęła się leciutko, odsłaniając zęby na tyle, że ujrzałem kły, odrobinę większe i ostrzejsze niż ludzkie, zdradzające mięsożercę.

Nagle przekrzywiła głowę i popatrzyła na mnie ostrożnie, po czym wskoczyła do wody. Długi ogon machnął, lekko rozchlapując wodę.

– Piękna, prawda? – zapytała cicho Maria.

Rozejrzałem się. Niektórzy z gości pokazywali nas palcami, zaśmiewając się. Najwyraźniej znowu stałem się obiektem docinków.

– Czy one... – zawahałem, nie wiedząc jak zadać pytanie.

– Czy są inteligentne? Tak. Samoświadome? Jak najbardziej. Czy mówią? A i owszem. – Maria odpowiedziała na wszystkie moje niewypowiedziane pytania hurtowo. – Ale rzadko.

Popatrzyła na mnie z uśmiechem.

– Musisz uważać, Herbercie. Patrzenie w ich oczy powoduje straszliwą chorobę.

– Chorobę?

– Tak jest, chorobę. Łatwo zapaść na beznadziejną, tęskną i nieuleczalną miłość.

Uśmiechnąłem się.

– Spróbuję uważać.

Ale wtedy z wody wynurzyły się wszystkie trzy i przyjrzały mi się badawczo.

Trzy takie ślicznotki to było dla mnie zdecydowanie za dużo. Zamknąłem oczy i, nie wiedząc czemu, pomyślałem o Ochrze, Sepii i Fuksji.

Znowu trzy.

Syreny zanurkowały, ale tylko po to, by po chwili wyskoczyć z wody i usiąść na brzegu fontanny.

Ludzie spojrzeli zaciekawieni.

A syreny zaśpiewały.

Pieśń nie miała słów. A przynajmniej ludzkich słów. Czyste dźwięki popłynęły przez salę, orkiestra urwała w pół taktu, tańczący znieruchomieli, wszystkie twarze zwróciły się w naszą stronę. Królowa uniosła się w łożu i patrzyła z rozchyłonymi ustami.

Pieśń zdawała się mówić o smutku. O miłości, tęsknocie i przywiązaniu. O tym, jak ciężko wybaczyć zdradę i naprawić zaniedbanie. Jak nienawiść zamienia się w przyjaźń, a miłość w wierność.

A potem śpiewały o mieście, o jego mieszkańcach, o życiu pełnym pośpiechu i wyrzeczeń. O smutnym losie, o nadziei, o niepoddawaniu się do samego końca i o walce z piętrzącymi się przeszkodami. Słyszałem w tym śpiewie słoneczny dzień i szum fal. Słyszałem stukot kół tramwajowych i radosne głosy dzieci w parku, szepty zakochanych i krzyki zwaśnionych. Różne rzeczy słyszałem...

Nie wiem, jak długo trwała pieśń. Nikt chyba nie potrafił ocenić upływu czasu. Syreny śpiewały coraz

ciszej, głosy opadały, stawały się coraz słabsze, aż na koniec dobiegły moich uszu trzy niegłośne pluśnięcia.

Cisza dzwoniła w uszach, chociaż wydawało się, że śpiew ciągle jeszcze rozbrzmiewa w sali.

Potem ktoś zaczął klaskać. Jak wichura zerwały się ogłuszające brawa, a uradowani ludzie pokrzykiwali hałaśliwie.

Byłem trochę zaskoczony. Ten występ był naprawdę poruszający, ale aż do tego stopnia?

Spojrzałem na stojącą obok Marię. Miała łzy w oczach i uśmiechała się smutno.

– Oj, ty chyba widziałeś syrenę, Herbercie – wyszeptwała. – I to tę jedyną. Strażniczkę.

– Co się stało? – zapytałem. – Dlaczego to wzbu-  
dziło tak silne emocje?

– Syreny nie śpiewały już od ponad stu dwudziestu lat.

– Dlaczego?

– Kto wie? Może nie miały dla kogo śpiewać. Ich śpiew przynosi podobno szczęście i pomyślność. Ci, którzy postanowili przyjść na bal później, będą tego żałować do końca życia.

Zauważyłem, że zrobiło się zamieszanie, wszyscy zapragnęli nagle przysunąć się bliżej fontanny. Przez tłum przepchnął się jeden z paziów Złotej Królowej i zaprosił mnie gestem w stronę jej łoża.

Królowa nie leżała już w kuszącej pozie, lecz stała na podwyższeniu. Na sali zapadła cisza.

– Chciałam ci serdecznie podziękować, Herbercie, za tę niespodziankę. Syreny znów zaśpiewały i sprawiła to twoja obecność. Wszyscy jesteście ci wdzięczni.